

Zdzisław Broncel

Fotografie Edwarda Fikusa

Malarz z malajskiego archipelagu

Rozmowa z polskim malarzem z Jawy

Dla świata, dla Paryża, dla Amsterdamu, dla Indji holenderskich jest to Mystkowski, albo jeszcze łatwiej — Myskowski. Ale psakrew, jest Czesław! Bagatela, imię weale nie międzynarodowe, niedość — ten Czesław Mystkowski, w białym helmie korkowym, w białym stroju, w chacie z bambusu — jest kresowianinem! Pomyśleć, 6 lat siedział na końcu świata, w głębi Jawy, 100 km. od miasta i teraz gotów jeszcze zaciągać kresowym dżalekiem. Go-

wpierw Ameryka daje na Malaje i na Filipiny, niż do Europy. Naprzykład, może pan widział, jest taki film podług Welisa „Niewidzialny człowiek“...

— Byłem na nim.

— No, to ja go widziałem w kinie na Jawie, na 4 miesiące nim go sprowadzono do Warszawy.

— Więc Batawja, to chyba duże miasto?

— Ogromne!

— Chłodniej? Np. ile stopni?

— Jakież 40 st. Celsjusza. W mieszkaniu zaś, przy 20 st., mamy chłód zupełny. Doskonale można odpoczywać, pijąc whisky and soda z lodem. W noce, a właściwie nad ranem trochę się ochładza i przed świtem trzeba się przykryć prześcieradłem.

— Wiec śpi się bez przykrycia...

— Dosłownie. Nago. Zupchnie nago. Chodzi się w dzień w helmie, w białym ubraniu. Tubylecy ubierają się tylko w sarongi, tkaniny batikowane, które owijają sobie wokół bioder. Są to prześliczne rzeczy, dziś już coraz rzadsze, bo fabryki sprzedają drukowany sarong. Europejczycy i tubylecy żywią się tak samo. Jak kto chce, w hotelu może mieć pierwszorzędną kuchnię europejską, ale ci, co mieszkają stale, zawsze przechodzą na tamtejsze pożywienie. Jest zdrowe i przystosowane do klimatu.

— Więcej jak wyglądał, powie pan, pański obiad?

— Ryż. Przez cały dzień ryż. Jawa jest pokryta polami ryżowymi. Leżą one w tarasach, jedno nad drugim, tak, żeby woda spływała z wyższych na niższe. Przywożą młak na Jawę i wypiekają chleb, ale chleb nie jest bardzo smaczny. Więcej, większość Europejczyków odżywia się na wzór tubylec. Na obiad jem duży talerz ryżu, a do tego moce małych suchych przystawek. Suche mięso, suche ryby i tak dalej. Popija się mlekiem kokosowym albo napojem, zrobionym z płynu, który jest w jeszcze innym gatunku orzechów. No, i oczywiście kosze owoców.

— Ciągłe pan mówi „tubylec“, a właściwie jakiej oni są rasy, czy narodowości?

— Na Jawie jest wielka mieszanina. Przedewszystkiem trzeba powiedzieć, że Jawa nie jest wyspą dzi-

ską — mieszkają Malajczycy. Mówią po malajsku i z tubylec ze środka Jawy malajskim językiem nie dogadują się.

— Czy pan umie po malajsku?

— Doskonale. Nauczyłem się w parę miesięcy. Malajski jest językiem bardzo prostym, prawie bez gramatyki. Niema liczebników, ani czasu przeszłego, czy przyszłego.

— No, dobrze, ale jak w takim razie wyrazić różnicę między „ja“ i „my“?

— To się mówi w ten sposób: „ja widzę“, a teraz liczba mnoga „ja z tym i tym i tym widzę“, albo trzecia osoba „on i on i on widzi“. Czas przeszły będzie wyglądał w ten sposób, że powiem: „ja dawniej widzę“, a przyszły „ja mogę widzieć“. Za to jawański jest bardzo trudny, jako język o starej kulturze, spokrewniony z hinduskim. Po jawańsku umiem nie wiele. Jest jeszcze trzeci język: sundanezki. Są trzy języki tak, jak trzy zasadniczo odrębne grupy ludności. Jak mówiłem — brzeg, to Malaja, środek — to czysta rasa jawańska, piękne głowy, szlachetne twarze, wspaniałe ciała. A w górach żyją „oran sumda“, jak ich nazywają po malajsku, t. zn. ludzie sumdajscy. Ci Sundanezi mieszkają na zboczach gór w chatkach bambusowych, zwanych „kampum“. Ich gniazda zielono - żółte, ukryte w gęstym bambusie — jest to niezapomniany widok dla malarza. Niech pan wierzy, po- trafilem cały dzień przesiadzić nad wodą, patrząc na kąpiących się Jawańczyków. Tożone ramiona, czysta linia pleców, zaokrąglone piersi, wysmukłe nogi, czekoladowe odcienie skóry, ciemno - granatowe oczy!

Mystkowski znów nabił fajkę, zaciągnął się dymem, spojrzał na do-

— Myślę sobie, że nie. Mieszkalem o 100 km. od Batawji, w górach, nie dzy Sundanezami. Zrobiłem dom z bambusu i tam malowałem. Zapuszczałem się w głąb Jawy, byłem nawet w Djokji, rezydencji sultana i ośrodku dawnych zwyczajów. Uży- skałem wstęp do pałacu. Studjowa- łem kulturę jawańską. Przeżyłem tam kilka najpiękniejszych chwil w życiu. Byłem mianowicie na koncer- cie w domu sultana, poznałem naj- ciekawszą muzykę, jaką kiedykol-

że gdy muzykant jednocześnie ude- rzy z obu stron, to bęben wyda dwa tony.

— Czy „gamelan“, to muzyka sa- moistna, czy tylko ilustrująca?

— Gamelan gra przy opowie- ciach bohaterów. Wtedy, gdy by- łem w pałacu sultana, wkrótce po przyjeździe muzykantów, wszedł da- lang, taki jawański homeryda, opo- wiadał poemat. Muzyka towarzy- szy jego opowieści, a tancerze od- twarzają akcję. Tancerze, ubrani w



Pola ryżowe na Jawie.

św po kresowemu wymawiać sło- wa malajskie, jawańskie, sundane- zkie... Stop. Zadużyłoby języków. Wystarczy wspomnieć, że żona Mystkowskiego mówi 6-ma językami.

Bardzo to zresztą szczęśliwie, bo może porozumieć się z mężem. Dla informacji: żona Czesława Mystkow- skiego jest kreolką, t. zn. mieszaną krwi holenderskiej i jawańskiej. Ten kresowianin nie tylko po modele do- swych obrazów pojechał na Jawę, ale i po żonę także. Ożenił się i wró- cił. Po 9 latach, już nawet potykając się w polskiej rozmowie, po trzech latach Paryża, sześciu archipelagu malajskiego zjechał na ulicę Dobrą, do niewykończanego nowoczesnego domu. Niby dwa pokoje. Kłitki, kli- teczki, trzy takie mieszkania stanę- łyby w starożytnym salonie.

Jeszcze się nie rozpakał. Pła- ścię pudła z akwarelami podpierają- ścią, fioletowe i czerwone kara- fy kamienne stoją na podłodze, koło kufków z nalepką „Marseille“ i napi- sami holenderskiego „Lloydu“ roz- taszczyły się patefony. Jawańskie płyty na podłodze. Patefonów co- najmniej dwa.

Drugi pokój wygląda podobnie. Kiedy mistrz Mystkowski chce zna- leźć coś ciekawego i pokazać go- ściom, to musi myśleć o podwórku. No, w każdym razie jakiś mieszka. Narzeka, ale mieszka. Narzeka na szarość, na ołowiane niebo, na brud- ne domy, na blade twarze ludzi, na czarniawy pył, na bruki (arterje tak- kie, jak ul. Dobra i ul. Gęsta!) i na klimat. Pięć razy już się zaziębił. I oczywiście — tradycyjna litanja na temat urzędu celnego.

Tym razem urząd celny postąpił nawet dowcipnie. Obrazy, a i ow- szem, prosimy, prosimy, dorobek ar- tystyczny, każdy rozumnie. Lecz pan szanowny pozwoli, na te rameczki nałożymy maleńkie eto...

Rezultat: Co było poprawne, siedzi na granicy. Olejne zostały tam wszystkie. Tylko akwarele, malowa- ne na kartonach przyjechały razem z Mystkowskim.

— To mój paszport — mówi Mystkowski, wskazując na pudło. — Mój bilet wizytowy, moja legitymacja. Tem muszę sobie otworzyć drogę do Warszawy.

— Kiedy pan myśli wystawić?

— Na jesieni, teraz niema sezonu na wystawy.

— Czy pan wystawiał te obrazy?

— I nieraż (pyknął z fajeczki) — w Batawji w tamtejszym Towarzy- stwie Przyjaciół Sztuk Pięknych, w takiej jawańskiej „Zachęcie“, w Pa- ryzu, w Amsterdamie — w muzeum kolonialnym.

— To w Batawji są wystawy?

— I jeszcze jakie! Batawja, to wo- góle europejskie miasto. Co za kul- tura, prośbu komfort. Są takśwo- ki, zupełnie tak, jak w Paryżu. Jest wspaniałe muzeum, jest radio, są ki- na, sala teatralna. Filmy nawet



Cz. Mystkowski.

Jawańska



Cz. Mystkowski.

Tygrys.

kusów. Była kiedyś państwem o wy- sokiej kulturze, pozostającym w bli- skich stosunkach z Chinami, z Ja- ponją, z Indiami. W IX w. Hindusi podbili Jawę. Jawa przyjęła bud- daizm i tak trwało aż do nowego podboju mahometańskiego. Dziś Ja- wa jest mahometańska, ale po okre- sie hinduskim pozostały wspaniałe pomniki. Największy to — „Wielki Budda“, świątynia „Burubudur“, po- łożona w górach, istny olbrzym, wznoszący się rzeźbionymi tarasami. Ściany drobnych krąganków pokry- te są płaskorzeźbami, przedstawiają- cymi sceny z życia Buddy. Wyższe krąganki są łukowate, nisz, budo- wanych w kształcie ołtarza. W każ- dej siedzi Budda, raz z rękami opu- szezonymi jako medruce wyrzekają- cy się świata, raz jako nauczyciel z ręką wzniesioną do góry. Jeszcze wy- żej zaczynają się galerie z płasko- rzeźbami, gdzie posągi Buddy są na- kryte dagobami w kształcie prze- rzystych dzwonów, które mają sym- bolizować dokonujące się na najwyż- sym stopniu przejście od świata zmysłowego do nadzmysłowego.

Teraz Mystkowski odłożył fajkę, wstał i zaczął przewracać w swoich przyparach. Wyciągnął stamtąd al- bum z fotografiami, wetknął wóń- długi, suchy nos, zagastykułował i z triumfem wyciągnął zdjęcie Burubu- dur.

— Burubudur stoi w głębi kraju. W miastach portowych, na pobrze- żu — czy to tak się mówi po pol-

my Powiśla i zawołał: — Panie, gdzie ja tu dostanę takich modeli i modelek!

— Istotnie o czekoladową urodę w Warszawie byłoby trudno.

Machnął ręką. — Głupstwo, nie o to idzie, idzie o budowę. O linję, bo widzi pan, co ja mogę malować? Niebo, przyrodę, las, góry, i jeszcze akt. Bo to też przyroda. A brudnych, szarych domów nie cierpię. A na martwą naturę szkoda pędzla. Jak malarz potrafi zrobić doskonały ob- raz ze śledzia i widelca, to powin- nien sięgać po bogatsze kształty. Jechać w Tatry, czy do lasu, czy machnąć się na Borneo, albo Cele- bes, a nie odstawać jakieś sztuczki ze stolowiem nogami.

— Celebes, to koło Jawy. Pan był na Celebes?

— Nie. Jeździłem tylko na drobne wyspy i na Sumatrę. Pozatem sie- działem na Jawie, gdyż tam jest naj- kulturalniejsze środowisko. To zna- czy najwięcej snobów europejskich, kupujących obrazy. Raz, gdy pew- nej Holenderek, która chciała kupić obraz na pamiątkę pobytu w kolo- niach, zaofiarowałem swoją ulubioną pracę, portret dziewczyny jawań- skiej, dama się obraziła i powiedzia- ła: Pan chce żebym w swoim salonie trzymała portret mojej „babu“ (słu- żącej). Pech akurat, że ta cudna dziewczyna była jej pokojówką.

— Czy pan mieszkał w Batawji, wśród kolonji europejskiej?



Pastwiska na Jawie.

wiek słyszałem. Jest ona niemal sa- mą przyrodą. Brzmi tak, jak szumi- ąca dżungla. Nazywa się „gamelan“.

— Wywiera ogromne wrażenie, tylko trzeba ją słyszeć w wykonaniu tradycyjnej orkiestry, w domu jakiegoś arystokraty jawańskiego. Ga- melan sultański posiada instrumenty z czystego złota i właściwie dopiero taki „trebang“ (zespół muzyczny) może dać pojęcie o tej muzyce.

— Niechże pan o tem opowie.

Mystkowski wyciągnął się na krze- śle, przełożył rękę pod kolanem, jak przy grze w „berka - bociana“, popa- trzył na swoją akwarelę: leżącego tygrysa, podlubał w zębach zagasłą fajkę i wyrecytował cały słownik jawański.

— Paku Buwono, czyli Gwóźdź Ziemi miał przybyć na koncert ga- melan, połączony z próbą tańca sym- bolicznego wajang wong. Sala tań- ców jest obszernym dziedzińcem, wy- sadzonym płytami śnieżnego marmu- ru, osłonięta stropem, wspartym na sześciu kolumnach.

Naprzeciwko wejścia na rzeźbio- nych podstawach ustawiono instru- menty, a przed każdym na macie siadł muzykant. Było ich trzydzie- stu. Głównymi instrumentami game- lanu są gongi. Największe mają po- dwa metry średnicy, a mniejsze le- żą uszerzokowane na podstawach, w dwa rzędy, po sześć albo siedem w każdym. Poza gongami jest jesze- cze saron, cymbały ze szczeroko- łożonych płyt. Coś w rodzaju muzyki dzwonów, bo pod każdą z płyt umie- szczony jest pionowo walec, wycięty z bambusu tak dobranej wielkości, że może dowolnie odbrzmiewać i po- tęgować dźwięk płytki. Dalej idzie instrument w rodzaju ksylofonu. Jest to długa ławeczka, a na niej luźno przymocowane deseczki bam- busowe, w które uderza się elastycz- ną paleczką. W środku kwadratu

rytualne szaty ze złotymi skrzydła- mi, zjawili się, jak duchy i czekali na pierwsze słowo dalanga. Byli to młodzieńcy, od dzieciństwa kształ- ceni w sztuce tańca, a wśród nich specjalnie przyuczani do ról niewie- ścień, ćwiczeni w naśladowaniu gło- su i ruchów kobiecych. W pałacu sultana tancerze nie mogą występo- wać razem z tancerkami, bo są nie- mi córki i żony władców. Nigdzie po- za pałacem nie tańczą prześliczne- go tańca dziewię „serimpi“. Ujrzeć go — to niezwykła łaska. Zaś ta- ńce żon sultana nazywa się „bado- ja“.

— Tańce mężczyzn ma chyba ja- kiś odmienny charakter?

— Tak, jest tańcem bohaterskim, tańcem walki. Tancerze udają walkę legendarnych bohaterów i zmagania demonów. W szczytowych momen- tach dalang uderza w białe, wiszą- cą koło niego, która wydaje przejm- ującej jęk.

— Pewno pan wykorzystał malar- sko wizytę w Djokji?

— Musiałem wykorzystać. Malowa- łem książkę — tancerzy, nie mogłem przecież oprzeć się urokowi tego świata. Zresztą — po to tam jecha- łem, żeby móc to malować.

— Właśnie. Tu jest jądro sprawy. Dlaczego pan musiał jechać na Ja- wę. Czy chodziło panu o temat? Przecież nie temat stanowi o war- tości dzieła malarskiego, ale kompo- zycja, harmonja barw, rysunek. Prze- cież malował pan typy rybaków z Bretanii i normandzkie miasteczka. Czemu pan zamienił to na egzotykę?

— Trudno wytłumaczyć. Chyba przez porównanie mi się uda. Widzi pan, kobietę kocha się, kiedy się bardzo człowiekowi spodoba, tak, że to już wszystko dla niej można zro- bić. Gdy się trafi na taką, to nie można nie zakochać się. Tak sumo z malarstwem. Musi mnie coś schwy- tać, jak miłość. Patrzę — krajobraz, tyle światła, tyle barw, i wtedy nie- to, że chce, ale muszę malować. Pę- dzel sam mi chodzi w ręku.

— To znaczy, że np. fragmenty urbanistyczne, czy krajobraz euro- pejski nie dawały panu dostatecz- nej podniety artystycznej...

— Nie wiem, czy dobrze mnie pan rozumie. Ja nie chcę malować szar- zyny, o — pokazał na okno — tych brudnych domów. W tem drze- wie, co tam rośnie niema dla mnie nie piękność, a palmy, czy las bam- busowy, wyglądający jak kolumna- da wspierająca niebo, muszę malować. Tak samo, jak muszę kochać- ść a nie inną kobietę.

— Więcej czy w Polsce będzie pan teraz malował?

— Będę. Tylko pojedę do lasu. Będę malował świerki, albo dęby, albo brzozy. Bo to jest żywe. Przy- roda. Ja zresztą zaraz panu poka- żę...

I zabraliśmy się do rozpakowywa- nia paki z akwarelami.



Czesław Mystkowski.

Podróżuj samolotem